



MAGDALENA SZPONAR

SPEECH LESS

„I choć nie ma o tym pojęcia, to właśnie wymienianie z nią wiadomości *przywróciło mi* *wiarę* w to, że jestem na tyle wartościowy, by wciąż oddychać”.



Copyright © 2024
Magdalena Szponar
Wydawnictwo NieZwykłe
All rights reserved
Wszelkie Prawa Zastrzeżone
Oświęcim 2024

Redakcja:

Alicja Chybińska

Korekta:

Katarzyna Chybińska

Iwona Wieczorek-Bartkowiak

Aga Dubicka

Redakcja techniczna:

Paulina Romanek

Projekt okładki:

Paulina Klimek

Druk i oprawa:

Abedik S.A.

www.wydawnictwoniezwykle.pl

Numer ISBN: 978-83-8362-435-8

Po pierwsze:
dla moich sprinciar
Ludki – bez niej skończyłabym tę książkę w 2030
Karoli – bez której ukończyłabym ją rok wcześniej
Oli – gdyby nie ona, może nie popadłabym w trakcie w alkoholizm
I Agi – która jako jedyna mi nie przeszkadzała
A... I Kingi – tylko ona potrafiła założyć Discorda

Po drugie:
dla inteligentnych filarów i wszystkich dzieciaków,
które miałam przyjemność uczyć
Jesteście ważni. Jesteście najlepsi. Jesteście wspaniali
Wasza Boska Matka

Po trzecie:
dla wszystkich książkar, które mniej lub bardziej potajemnie
oglądają fragmenty koncertów Dana Reynoldsa na TikToku
Wiem, o czym myślicie, zboczuszki ;)
Wasza Magda

PS I tak, to jest najdłuższa dedykacja, jaką stworzyłam

Rozdział pierwszy

FAITH

– I zobacz, jak skończyłaś... – słyszę w telefonie głos mojej przyjaciółki, Liny. Jest rozbawiona. Chociaż ona. Sama krzywię się pod nosem i przyciskając komórkę barkiem do ucha, zaczynam grzebać w torbie.

Cholerne klucze... Zawsze się gdzieś chowają.

– Uwierz mi, że Edmonton nie znajdowało się na mojej liście marzeń – mrużę, na co ona śmieje się jeszcze bardziej.

– Będzie fajnie, zobaczysz – mówi, tryskając tym swoim optymizmem, który mnie zarówno przeraża, jak i zaskakuje.

Prawie proszę, by zdefiniowała słowo „fajnie”, ale ostatecznie rezygnuję. Dla Liny „fajnie” oznacza tłumy, festiwale, głośną muzykę i bogactwo otaczające ją z każdej strony. Dla mnie z kolei – święty spokój, ciszę, ulubioną książkę i słodką, mleczną

kawę z syropem orzechowym. No i piosenki, moje piosenki, o których nie wie nikt, nawet ona.

Kompletnie nie rozumiem, jakim cudem się przyjaźnimy.

– Muszę kończyć, Lin – odpowiadam, gdy między palcami czuję miękkie futerko breloku w kształcie chmurki, przytwierdzonego do kluczy. – Zaczynam – dodaję z ciężkim westchnieniem i otwieram drzwi sklepu *Le scieur de bois*.

– Powodzenia – świergocze Lina i rozłącza się bez pożegnania.

Wzdycham – po raz setny tego dnia – i chowam telefon do torby. Sekundę później wita mnie przyjemny chłód wnętrza sklepu mojego brata. Rozglądam się i czuję w sercu ukłucie niepewności. Mam osiemnaście lat. Zero perspektyw. Nie potrafię rzucić się w wir realizacji najszybszych marzeń i właśnie uciekłam do innego kraju, bo za bardzo bałam się konsekwencji swoich decyzji. A teraz mam zająć się sklepem z ekskluzywnymi ciuchami dla mężczyzn.

Sklepem, którego nazwy nie potrafię wymówić, ale kto by tam zwracał uwagę na takie detale.

Zapalam światła i kiedy zerkam w górę, widzę na suficie beton oraz surową instalację. Metalowy stelaż utrzymuje kable, a co kawałek zwisają z niego zwykle żarówki.

– Całkiem spoko – mruczę pod nosem, dobrze zdając sobie sprawę z tego, że za wystrój z pewnością nie odpowiada Bear, mój brat. Ten człowiek kompletnie nie ma gustu.

Wchodzę głębiej i pozwalam sobie przesunąć palcami po materiałach ubrań leżących na stołach. Przy ścianach zauważam wieszaki z kolejnymi ciuchami, a na środku stoi wielki manekin. Serio, jest wielki. W zasadzie ogromny. Przypomina mi bohaterów moich ukochanych książek, brakuje jedynie ciemnej czupryny, zawadiackiego uśmiešku i czarnych oczu. A, i fajnie, gdyby w środku ktoś zainstalował głośnik, z którego płynęłoby zachrypnięte: „Be a good girl, love”.

Wówczas znalazłabym się w niebie.

Podchodzę bliżej i szturcham gościa palcem, jakbym chciała się upewnić, że nie jest prawdziwy. Robię to jednak zbyt mocno, bo zaczyna się chybotać, a ja spanikowana łapię go za ramię, które... oczywiście wyrywam, gdy ten kolos leci na podłogę!

Piszczę, a potem parskam śmiechem, stojąc z plastikową ręką na środku sklepu, do którego pasuję jak pięść do nosa. Kwadrans później udaje mi się ustawić Chucka – tak, nadałam manekinowi imię, w końcu połączyła nas jakaś zażyłość, co nie? – i prowizorycznie naprawić jego ramię. Przynajmniej do chwili, gdy ktoś znów go nie dotknie, ale to już nie mój problem...

Rzucam swoją torbę za ladą i od razu wyciągam *Red, White & Royal Blue*. Mam nadzieję, że będę miała czas poczytać. Zresztą Bear twierdził, że ruch w sklepie jest w zasadzie niewielki, bo większość klientów umawia się na wizyty. Nie lubią tłoku, podobno.

Burzuje.

Na szczęście dzisiaj nikt nie powinien się tutaj pojawić. I świetnie. Choć zaferowałam bratu swoją pomoc, nie chciałam od razu wypływać na szerokie wody.

Malutkie krocзки.

Tak radził mi terapeuta w Stanach, jeszcze zanim postanowiłam po prostu uciec.

W Edmonton jestem już od tygodnia, ale aż do dzisiaj nie wyściubiałam nosa za drzwi mieszkania Beara. Teraz jednak potrzebował mojej pomocy, bo sam wyjechał na jakieś branżowe spotkanie swojej sieci sklepów z męską odzieżą – właśnie tak, Bear Nelson był milionerem, bo odziedziczył po swojej mamie markę fatałaszków dla bogatych chłopców – więc pojawiałam się tutaj szybciej, by przypilnować interesu. Tak naprawdę Bear to mój przyrodni brat – mamy tego samego ojca. Ale o tym za chwilę... W każdym razie nie przeszkadzało nam to być nierozłącznymi. No, o ile można nazwać tak kontakty ograniczające się głównie do FaceTime'a.

Ostatecznie sklep był otwarty codziennie od rana do popołudnia, co wydawało mi się idiotyzmem, skoro wszyscy klienci umawiali się na konkretne terminy. No cóż, kiedy zerkam na rozpiskę cen, sprytnie schowaną pod ladą, stwierdzam, że nic nie powinno mnie dziwić.

Serio?! Kto wydaje tysiąc dolarów (kanadyjskich!) na głupie okulary?!

Otrząsam się z szoku, przypominając sobie, że na własne życie nie doświadczyłam takiego bogactwa. A to chyba wymaga wyjaśnienia...

Bear jest starszy ode mnie o cztery lata. Nasz ojciec – Graham – pochodzi stąd i wygląda jak prawdziwy kanadyjski drwal. Związał się tutaj z Sarah – mamą Beara – ale nie ułożyło im się i ostatecznie się rozstali. O dziwo, udało im się utrzymać coś na kształt przyjaźni, dzięki czemu sama już od pierwszych lat życia miałam oparcie w braciszku. Widywaliśmy się na tyle często, na ile pozwalały nam na to dzielące nas kilometry. Moja mama, Melody, nie miała nic przeciwko takiemu obrotowi spraw. Ba, zaprzyjaźniła się z Sarah, co według mnie zakrawało na cud. I tak tworzyliśmy sobie jedną wesołą rodzinę, aż do... zeszłego lata, kiedy okazało się, że Sarah choruje na raka i zostało jej naprawdę niewiele. To był dla nas wszystkich ogromny cios. Mama Beara umarła jeszcze przed jesienią, a on został tutaj sam. Nie chciał jednak przyjechać do nas, bo Sarah zostawiła mu markę odzieżową, którą obiecał się zająć. I zrobił to, łącząc obowiązki prezesa sieciówki ze studiami. W dodatku osobiście prowadził główny butik, gdzie, no cóż, właśnie się kręciłam.

Już od urodzenia przylgnęła do mnie łątka księżniczki. Stałam się oczkiem w głowie całej rodziny – a to dlatego, że byłam w niej jedyną dziewczyną. Serio. Otaczałam się samymi kuzynami, no i Bearem. Ani. Jednej. Dziewczyny. Łatwo sobie wyobrazić, co przeżywałam przez pierwsze lata życia.

Do dziś tata nazywa mnie księżniczką, a mama plecie mi war-kocze, ilekroć ma ku temu okazję. Teraz czuję, że to wszystko się skończy. Narozrabiałam... Gdyby rodzice poznali prawdę... Chryste, boję się nawet pomyśleć, jak wyglądałyby ich reakcja.

Na pomoc przyszedł Bear. Choć mieszkaliśmy z dala od siebie, zawsze mieliśmy dobry kontakt. W końcu od czego jest internet, prawda?

Okłamałam wszystkich. Chciałam iść na studia tutaj, w Kanadzie. Tak im powiedziałam. Bear zgodził się, bym z nim zamieszkała, a i rodzice nie widzieli przeciwwskazań. Nikt jednak nie zorientował się, że wcale nie dostałam się na uczelnię, ba, ja nawet na nią nie aplikowałam.

Brat musiał poznać prawdę, miałam tę świadomość. Do końca życia będę mu wdzięczna za to, że pozwolił mi przyjechać do siebie, nawet jeśli uwierzył w moje kłamstwa. A co dalej? Zastanowię się nad tym pod koniec sierpnia, gdy przyjdzie mi powiedzieć wszystkim prawdę, że nie będzie żadnych studiów.

Wracając do bogactwa...

Kiedy tylko zaczęłam samodzielnie myśleć, uznałam, że irytuje mnie to ciągle rozpieszczanie. Naprawdę, miałam wszystko. Już jako nastolatka stwierdziłam, że chcę od życia czegoś innego. Że chcę sama zapracować na wszelkie przywileje i luksusy. Dlatego poszłam do zwykłego liceum. Dorabiałam po knajpach, by móc kupić ciuchy z drugiej ręki. I przy okazji poznałam Zachary'ego. Ale o nim nie zamierzam nawet myśleć.

W każdym razie... oto jestem.

Faith Nelson w porwanych boyfriendach, czerwonych conversach i topie za dychę z Walmartha. Proszę nie oceniać.

Dzień zapowiada się naprawdę dobrze.

W zasadzie nie robię... nic. Krzątam się trochę po sklepie, którego nawet nie trzeba sprzątać – od tego Bear ma specjalną firmę. Rzeczywiście nikt się nie pojawia, a ja zdążam przeczytać prawie

całą powieść. Ostatnie rozdziały zostawiam sobie na wieczór. Uwielbiam wówczas kończyć książki, bo nikt nie widzi, jak wylewam łzy nad happy ever after bohaterów. Zresztą uważam, że wszystkie historie, które nie kończą się dobrze, powinny zostać rytualnie spalone. Życie jest wystarczająco smutne, nie musimy się dobijać złymi zakończeniami, prawda?

W końcu z nudów siadam na szerokim parapecie witryny. Zapadam się w wyłożonych na nim poduchach i patrzę na mało ruchliwą ulicę. Niewiele się tutaj dzieje. Ta część miasta należy do spokojnych, a to za sprawą specyficznych mieszkańców – czyli tych najbogatszych. Tutejsze sklepiki – przynajmniej wnioskując z tego, co zauważyłam przez okno – świecą pustkami, a jednocześnie wydają się ogromnie luksusowe.

Tam pewnie także klienci umawiają się na konkretny termin, myślę i zaraz wyobrażam sobie podobną sytuację:

Dzień dobry, nazywam się Goldy Srajacydolarami i za dwa dni o piętnastej przyjdę do państwa po cztery marchewki.

Parskam pod nosem i kręcę głową. Tak, tylko moja wyobraźnia potrafi snuć tak dziwaczne historie. Przecież bogacze nie kupują sobie marchewek, prawda? Mają od tego ludzi. Aż skręca mnie na myśl o tym, co można byłoby zrobić za pieniądze, jakie zostały władowane choćby w ten sklep, w którym teraz siedzę. Za równowartość tych ciuchów wyżywiłabym pewnie mały kraj w Afryce.

Zawsze chciałam pomagać innym. Zawsze chciałam robić coś dla świata. Ale jak dotąd nie wiem, za co konkretnie powinnam się zabrać. Wiem natomiast, że nie będę studiować marketingu. I nie wrócę do Stanów zbyt szybko, bo tam mogłabym się natknąć na Zachary'ego.

Podziękuję za takie atrakcje...

Nagle jakieś zamieszanie na końcu ulicy przykuwa mój wzrok. Najpierw widzę przejeżdżający szybko samochód, potem

garstka ludzi przebiega na drugą stronę, aż nagle zza rogu wypada jakiś facet. Biegnie przed siebie, co parę kroków oglądając się przez ramię.

Wygląda... cóż, jak jakiś obszarpaniec.

Porwane dzinsy, powyciągana i poplamiona koszulka, katana z oberwanym rękawem. Zbliża się do mojej witryny i wówczas zauważam brązowe plamy od błota na jego – bądź co bądź przy stojnej – twarzy. Dość długie, skołtunione włosy opadają ciężko na jego kark, a on sam, w całości, wygląda jak szaleniec.

Wzdrygam się, odmawiając pod nosem cichą modlitwę, by nie wparował mi do sklepu, i... gdy tylko o tym myślę, gość... wparowuje mi do sklepu!

Wciskam się mocniej w ścianę, błagając wszelkie bóstwa, by mnie nie zauważył.

Patrzę, jak opiera się ciężko o drzwi i dyszy niczym maratończyk na ostatniej prostej. Chryste, przebiegł całe miasto, czy jak?! Następnie zerka przez ramię na ulicę, a potem uważnie rozgląda się po wnętrzu. Wówczas krzyczy coś po francusku – dlaczego tak uparcie nie chciałam się uczyć tego języka?! – a kiedy w odpowiedzi słyszy jedynie ciszę, klnie cicho pod nosem:

– *Merde.*

To akurat rozumiem. Bear użył tego słowa, kiedy opowiedziałam mu o Zachu. Bo akurat to mu wyjawiałam. Potrzebowałam argumentów, by móc spędzić wakacje z braciszkiem.

Prawie nie oddycham. Myśli pędzą mi z prędkością samolotu odrzutowego. Co robić? Cholera... Nie znam karate ani żadnych innych japońskich słów. Albo chińskich? Jeden pies. W każdym razie z samoobrony wiem tylko, w które miejsce kopnąć faceta, by zwijął się z bólu. Ale czy drugi raz uda mi się osiągnąć podobny efekt? Czy dam radę trafić? Może go zaskoczyć? A może powinnam siedzieć tutaj cicho i pozwolić mu okraść sklep mojego brata?

Nie no, nie mogę na to pozwolić!

Kiedy ja toczę batalię z samą sobą, koleś zaczyna rozglądać się po sklepie i... no robi tu bałagan! Patrzę, jak zrzuca kataną, a następnie...

Dobra, jak na obszarpańca i pewnie bezdomnego ma całkiem przyjemne ciało. Aż przekrzywiam głowę na widok pojawiających się na jego opalonych plecach krzywizn. Ma też tatuaże, w tym na szyi... Zauważam wzór, kiedy wkłada jedną z koszulek leżących na stole i wyciąga spod kołnierza długie włosy, które od razu zawiązuje w jakiś dziwaczny kok na karku. Unoszą się na tyle, bym zobaczyła wytatuowany mały pistolet.

Boże... Gangster? Przestępca? Morderca? Kim jest ten człowiek?!

W międzyczasie koleś znów spogląda przez ramię na ulicę, ale nadal mnie nie zauważa – siedzę po drugiej stronie sklepu. Za oknem słyszę jakieś zamieszanie, jednak boję się sprawdzić, co tam się dzieje. Nie chcę spuszczać tego typu z oczu.

Nagle podchodzi do lady i... Jezu, właśnie to do mnie dociera. Jeśli okulary kosztowały bańkę, to ta koszulka...

A jeśli teraz okradnie i kasę?! O ile w ogóle jest tu jakaś kasa, bo przecież bogacze płacą jedynie złotymi kartami!

Chyba zaczynam panikować.

Serce wali mi w piersi tak mocno, że je słyszę i dziwię się, że ten odgłos nie dobiegł do włamywacza. Przecież puls napieprza mi jak koń podczas westernu!

Kiedy ja hiperwentyluję, próbując podjąć jakąkolwiek decyzję – a wspominałam już, że decyzyjność nie jest moją mocną stroną – koleś podchodzi do stojaka z okularami.

Tak! Tymi za tysiaka!

Tego już za wiele!

Zaciskam zęby i zeskakuję z parapetu.

Nie do końca chyba myślę nad tym, co robię. Idę przed siebie, gdy tamten typ jest zbyt mocno zaaferowany wyborem, cholera,

okularów za bańkę. Nawet mnie nie zauważa! Przechodząc obok Chucka, wrywam mu ramię – *sorry, chłopie!* – i w tej właśnie chwili włamywacz się odwraca.

Na mój widok robi wielkie oczy – *przyłapany!* – a potem z jego ust wypada jakiś srylion francuskich słów. Nie rozumiem ani jednego.

Co robi Faith?

Oczywiście, że zaczynam gościa tłuc!

Ramię Chucka lata w tę i w w tę, a koleś krzyczy. Ja też krzyczę, chodź po angielsku, a w zasadzie to wyzywam faceta, ile wlezie.

Za sobą słyszę zamieszanie, a w tej samej chwili, kiedy otwierają się drzwi sklepu, złodziej wrywa mi ramię Chucka i znowu pieprzy coś po francusku. Jego oczy ciskają gromy, jakby miał prawo być zły. Coś takiego!

Zerkam za siebie i widzę gościa w uniformie. Policja? Świetnie! Nie mam pojęcia, jak wygląda policjant w Kanadzie, ale to musi być on. Włamywacz dalej pierdzieli francuskie głupoty i unosi rękę (z ramieniem Chucka). Ha, tłumaczy się! Dobrze mu tak!

– Ten pan się tu włamał. – Odwracam się do policjanta, który zerka to na mnie, to na tamtego gościa, i... Boże, on się śmieje? – Proszę go aresztować!

Funkcjonariusz mówi coś po francusku – *nienawidzę tego języka, naprawdę!* – a włamywacz po prostu odkłada rękę Chucka na ladę i bierze się pod boki. Rozmawiają przez parę chwil, a ja zaczynam się zastanawiać, co tu się, za przeproszeniem, odwała?

– Gdzie Bear? – pyta nagle ten koleś po angielsku i kiedy na niego zerkam, dostrzegam, że: a) jest naprawdę cholernie wysoki, b) rozciąłam mu łuk brwiowy, z którego teraz leje się krew, c) skąd on wie, kim jest Bear?!

Otwieram usta i zaraz je zamykam, cofając się myślami do punktu b.

SPEECHLESS

Krew.

Czerwona.

Cuchnąca.

Chryste... krew.

Przełykam żółć podchodzącą mi do gardła i... zapada
ciemność.

Mdleję.